

Władze USA zajrzały w listę kontaktów współpracownika Wikileaks?

11 października 2011

Władze USA prosiły firmy Google i Sonic.net o informacje z kont e-mailowych Jacoba Appelbauma – aktywisty i zwolennika Wikileaks. Odbył się to bez nakazu przeszukania, a wspomniany aktywista nie jest podejrzany o żadne przestępstwo. To kolejny dowód na to, że władze USA wykorzystują wady krajowego prawa, aby grzebać w elektronicznej korespondencji obywateli.

Jacob Appelbaum to specjalista od bezpieczeństwa i aktywista walczący o prawa człowieka, który otwarcie popiera Wikileaks. Nie jest to przestępca ani nawet podejrzany, ale władze USA interesują się nim w związku ze śledztwem dotyczącym Wikileaks. Była to jedna z tych osób, którą władze USA prześwietlały za pomocą danych z Twittera.

Z doniesień Wall Street Journal wynika, że amerykańskie organy ścigania postanowiły zajrzeć również do e-maili Jacoba Appelbauma i to bez nakazu przeszukania. Do ujawnienia danych na podstawie specjalnego nakazu zostały zobowiązane firmy Google oraz Sonic.net. Dziennikarze WSJ widzieli dokumenty, które to potwierdzają.

Firma Google nie skomentowała sprawy. Przedstawiciele Sonic.net powiedzieli WSJ, że walczyli z nakazem. Ponadto Sonic.net i Google prosiły o prawo do poinformowania Jacoba Appelbauma, że dane dotyczące jego kont zostaną przekazane władzom. Organy ścigania miały prosić o listę adresów, z którymi Appelbaum korespondował w ciągu ostatnich dwóch lat.

Najbardziej niepokojące w tej sytuacji jest to, że władze USA wciąż wykorzystują niedociągnięcia swojego prawa, które zapewnia prywatność tylko niektórym formom komunikacji. Ustawa

Electronic Communications Privacy Act powstała ćwierć wieku temu i nie przewidziano w niej, że ludzie będą przechowywać niektóre dane o charakterze prywatnym w smartfonach lub w ramach usług takich, jak Gmail.

Obecnie w USA władze muszą się bardzo postarać, aby uzyskać dostęp do czyjejś papierowej korespondencji. Mniej trudności jest z uzyskaniem e-maili lub danych geolokacyjnych z telefonu. Nie trzeba wykazywać, że istnieje powód do dokonania przeszukania i popełnione zostało przestępstwo. Wystarczy mieć „uzasadnione podstawy”, by sądzić, że dane mają związek ze śledztwem. Przy tej uproszczonej procedurze użytkownik poczty elektronicznej może nawet nie wiedzieć, że władze przejrzały jego korespondencję.

Wady amerykańskiego prawa były nie raz przedmiotem krytyki, ale wygląda na to, że władze chętnie z nich korzystają i wcale nie śpieszą się, by sytuację zmienić. Kwestia ta była często podnoszona właśnie przy okazji śledztwa w sprawie Wikileaks.

Warto przypomnieć, jak było z inwigilacją przez Twittera. W grudniu ub.r. sędzia Theresa Buchanan wydała nakaz udostępnienia władzom informacji związanych z kontami kilku osób powiązanych z Julianem Assange. Nakaz dotyczył m.in. Appelbauma, ale także Birgitty Jonsdottir, islandzkiej posłanki, co było szczególnie kontrowersyjne.

Inwigilowani użytkownicy Twittera wystąpili do sądu o cofnięcie nakazu oraz upublicznienie wszystkich związanych z tą sprawą dokumentów. Mówiono, że naruszona została czwarta poprawka do konstytucji USA, która określa zasady nakazów i rewizji. Inni komentatorzy mówili o naruszeniu praw wynikających z pierwszej poprawki, gdyż działanie władz miało związek z wolnością słowa.

W marcu br. sąd odrzucił wniosek o cofnięcie nakazu i nie zgodził się na odtajnienie rządowego wniosku dotyczącego jego wydania. Szkoda, bo mówiono, że wniosek ten mógł dotyczyć

także Google'a, Facebooka i Skype'a. Choć wniosek o wydanie nakazu pozostał tajny, sąd zgodził się na odtajnienie samego nakazu, co wcale nie musiało nastąpić.

Opracowanie: Marcin Maj

Na podstawie: Wall Street Journal

Źródło: [Dziennik Internautów](#)